

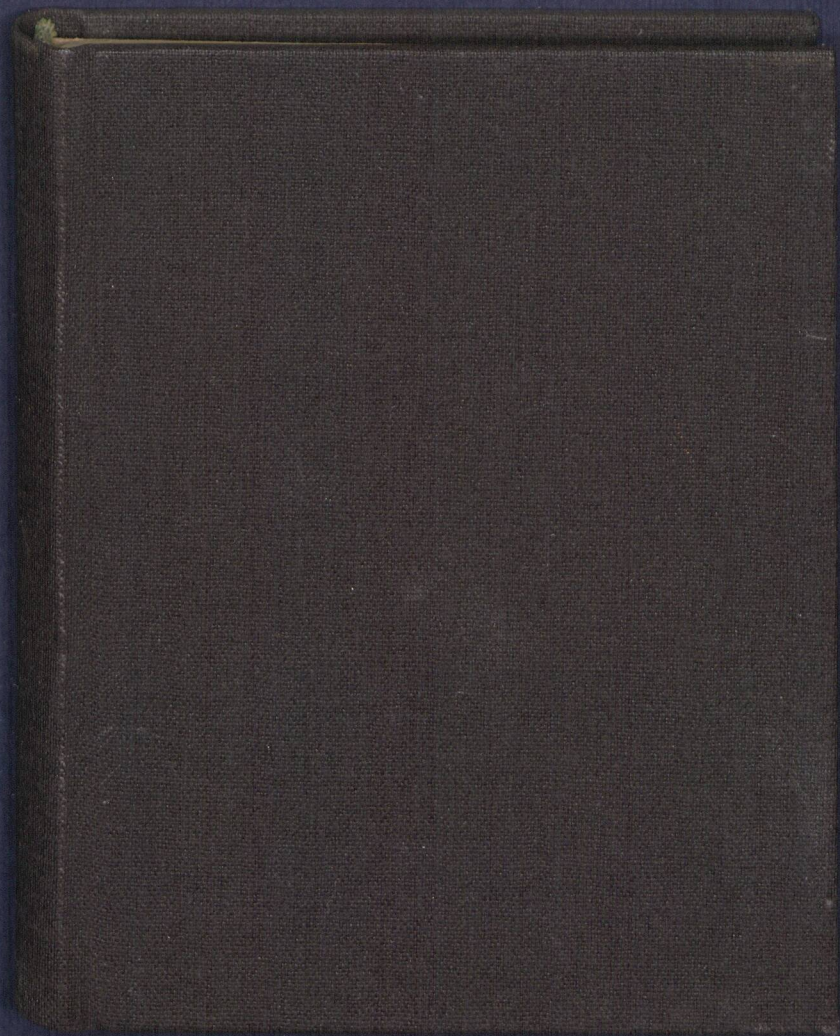
POEZYE
ADAMA MICKIEWICZA.

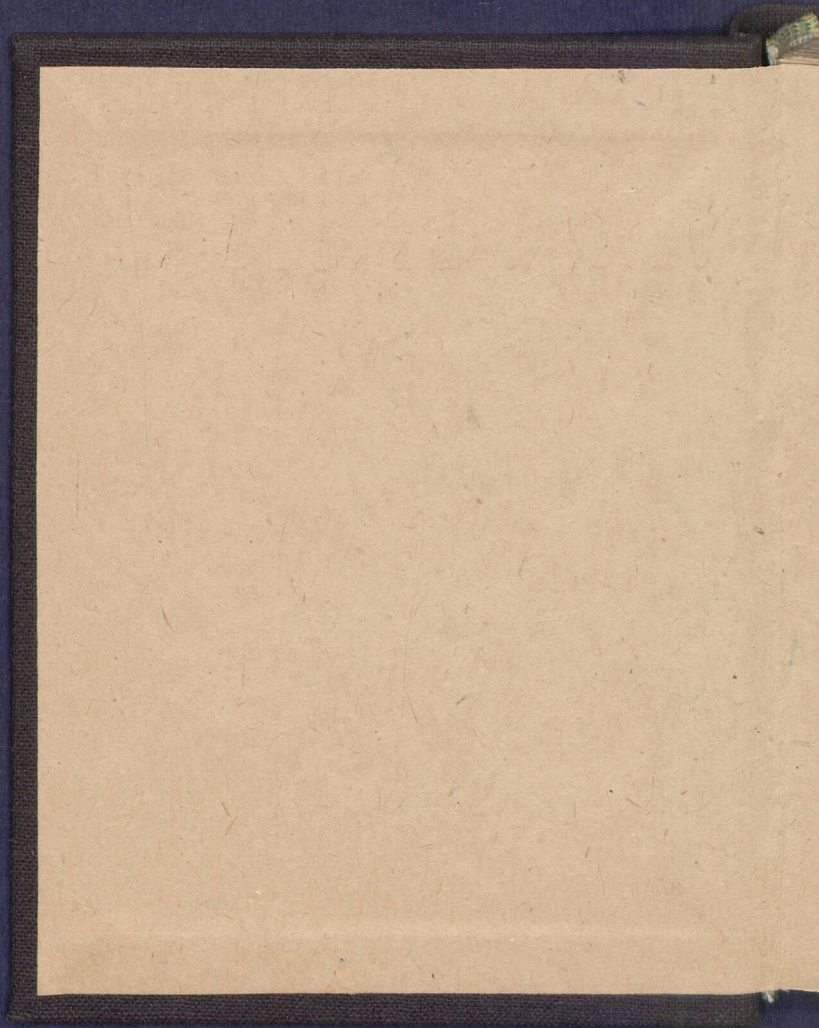
TOM CZWARTY.



W POZNANIU, 1828.

(WŁASNOŚĆ AUFORA.)







AL

POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM CZWARTY.



W POZNANIU, 1828.

(WŁASNOŚĆ AUTORA.)



1728/72 1

Głoskami WILHELMA DECKERA
i Spółki.

BU UAM
09 K 467

PRENUMERATOROWIE.

	Egzempl.
Adamski Wojciech, doktor med. i chir.	1.
Baranowski Hilary	5.
Barciszewski ksiądz	1.
Bernatowicz Antoni	1.
Bieliński Kazimierz	1.
Bieńkowski Albin	1.
Bieńkowski Tadeusz	1.
Biskupski Józef	1.
Breza Antonina z Radolińskich	3.
Brodnicki Karól	1.
Brzeski Hamilkar, uczeń gimn. pozn.	1.
Brzeżański August, b. kapit. w. pol.	1.
Budziński ksiądz Konstanty	1.
Chłapowski Anzelm	1.
Chłapowski Dezydery	2.
Chłapowski Stanisław	3.
Czapski	1.
Dąbrowski	1.
Drwęski Jarosz	1.
Dunin Franciszek	2.
Działyński Hr. Tytus	10.

Dzieduszycki Hr. Ignacy	4.
Fijałkowski Józef	2.
G.	9.
Garczyński Romuald	1.
Gąsiorowski Ignacy	2.
Gliszczyński A.	1.
Górzeński August	2.
Górzeński Hieronim	3.
Graef (de)	1.
Grodzicki Filip	1.
Grudzińska Anna z Białoblockich	1.
Gutry	1.
Jaraczewski Julian	2.
Jaraczewski Izydor	2.
Jarochoowski	2.
Jarzębowski Stanisław	1.
Jezyk	1.
Joneman	1.
Iwaskiewicz Józef	1.
Kalkstein Ferdynand	2.
Kassysz Jan Wilhelm, b. prof. gimn. pozn.	1.
Kierska Rozalia	1.
Kierski Jan Nepomucen	1.
Klupsz	1.
Koczorowski Antoni	1.
Koczorowski Jan	1.
Koczorowski Tertulian	5.

Egzempl.

Kościelski Józef, szambelan	2.
Kościelski Ludwik	1.
Koszutski Maxymilian	1.
Koszutski z Ostrowa pod Gostyniem	1.
Kowalski Antoni, kapitan w. pol.	1.
Kramarkiewicz Kasper	1.
Krasicki, pólkownik	2.
Krępowiecki T.	1.
Krzyżanowski Antoni	1.
Krzyżanowski Józef	2.
Krzyżański Ludwik	1.
Kunow	1.
Kwilecki Hr. Józef	1.
Lekszycki Izydor, radzca ziem. pow. odolan.	1.
Lipski, gienerał	2.
Liskowski	1.
Łaszczewski Felicyan	1.
Łącki Nepomuccn	1.
Łubieński Hr. Józef	2.
Matecki Jan	1.
Miączyński Włodzimierz	1.
Michalski, radzca tajny	1.
Mielcarzewicz Roch	1.
Mielżyński Hr. Maciej	3.
Micary Stanisław	1.
Mikorski Prezes	2.
Mikorski Józef	2.

Milewski Nepomucen	1.
Mlicki Maxymilian, pólkownik	1.
Moraczewski Benedykt	1.
Moraczewski Jakób	1.
Morawski Józef	2.
Morze Ludwik	1.
Moszczeńska Hr. ze Złotnik	1.
Moszczeński Wincenty	2.
Mycielski Hr. Franciszek z Tuliszkowa	2.
Niegolewski Chryzostom	3.
Niemojewski Kasper	3.
Niemojewski Nepomucen	3.
Nieszkowska Paulina	1.
Niewiadomy na ręce Tad. Pagowskiego	1.
Nowakowski Franciszek, uczeń gimn. poznańsk.	1.
Potocki Leopold	1.
Potocki Maxymilian	1.
Potworowski Hr. Prezes	2.
Potworowski Gustaw	1.
Przepiorczyński Antoni	1.
Radoński Alojzy	1.
Radoński Franciszek	4.
Radoński Józef	3.
Radoński Kazimierz	1.
Radoński Mikołaj	4.
Radoński Piotr	1.
Radziwiński Kazimierz	1.

Radziwiński Napoleon	2.
Rauh, st. teol.	1.
Rejkowski Dominik, komisarz sprawiedliw.	1.
Rembowski Bonawentura	2.
Seredyński Jan	1.
Sieraszevska Tekla	1.
Skóraszewski Józef	1.
Skórzewska Honorata z Brzechwów	2.
Skórzewski Antoni	1.
Skórzewski Bogdan	1.
Skórzewski Hilary	1.
Skórzewski Jan	1.
Skórzewski Jędrzej	1.
Skórzewski Ignacy	1.
Sławoszewski Dyonizy	1.
Starzęcki Wawrzyniec	3.
Stefański Józef	2.
Stefański Kazimierz	1.
Święcicki Wiktor, b. kapit. w. pol.	1.
Świnarska Teofila z Zablockich	2.
Świnarski Edmund	1.
Świnarski Emil	2.
Świnarski Ignacy	1.
Szczaniecki Ludwik	5.
Szczaniecki Ignacy	2.
Szczaniecki Stanisław	5.
Szule, b. prof. w gimn. bydgoskiem	1.

Tomaszewski	1.
Trampczyński Alexy	1.
Trampczyński Felix	1.
Trojański Kajetan, prof. gimn. pozn.	1.
Umiński, generał wojska polskiego	3.
Urbanowski Serafin	1.
Wesołowski Michał	1.
Węgierski Emilian	2.
Wieruszewski ksiądz	1.
Wilczyński Xawery	3.
Willant Piotr	1.
Zajdler, radzca ziem. pow. szamotulsk.	2.
Zakrzewski Aureli	3.
Zakrzewski Hieronim	1.
Zakrzewski Józef	1.
Zakrzewski Napoleon	1.
Zawadzki, radzca ziem. pow. pozn.	1.
Ziemęcki Jan, b. kapit. w. pol.	1.
Żółtowski Jan Nep. z Ujazdu	1.
Żółtowski Jan z Kasinowa	1.
Żółtowski Marcelli, uczeń gimn. pozn.	1.
Zyc Augustyn	1.
Zychliński Stanisław	1.

pl.
1.
1.
1.
1.
3.
1.
1.
2.
1.
3.
1.
2.
3.
1.
1.
1.
1.
1.
1.
1.

KONRAD WALLENROD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z DZIEJÓW LITEWSKICH I PRUSKICH.

WYDAŃA W PETERSBURGU r. 1828.

*Dovete adunque sapere come sono due
generazioni da combattere... bisogna
essere volpe e leone.*

*

KONRAD WALLENROD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z DZIEJAMI LITWAŃSKICH I PRUSKICH.

WYDAW. W BERTSBERGU, R. 1832.

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione.
Droga do domu mojego jest tak daleka,
Że nie mogę do domu wrócić...
Czas jest tak długi.

ty.

Bonawenturze i Joannie

Z A L E S K I M

na pamiątkę lata

tysiąc ośmset dwudziestego siódmego

poświęca

AUTOR.

EXORDIUM

Handwritten text, likely a preface or introduction, written in a historical script. The text is mirrored and appears to be bleed-through from the reverse side of the page. It begins with a large initial letter, possibly 'H' or 'I', and contains several lines of dense script.

Przemo wa.

Naród litewski składający się s pokoleń Litwinów, Prussów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo w Europie nieznamy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród, tak słaby i tak długo obcym holdujący, mógł odrazu oprzec się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jednéj strony prowadząc ciągłą i morderczą z zakonem krzyżowym wojnę, z drugieję łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogrodu wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witolda, których władza rościagała

się od bałtyckiego do czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoją właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń ruskich i weszli w stósunki polityczne s Polską. Sławianie, oddawna już chrześcijanie, stali na wyższym stopniu cywilizacyi; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemieżycielem, i pochłonęli go, jak Chiny najezdzców tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wassale stali się Polakami; wielu książąt litewskich na Rusi, przyjęło religiją, język i narodowość ruską. Tym sposobem wielkie księstwo litewskie przestało być litewskiem, a właściwy naród litewski ujrzzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych, i zachowała się tylko między pospółstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbyte-

cznym wylewie opada, i płynie węższym niżeli pierwój korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu wydarzenia: zeszyły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroźszy jój nieprzyjaciel, zakon krzyżowy; stósunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały owczesną wojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości; jój dzieje przedstawiają s tego względu szczęśliwy dla poezyi zawód, że poeta opiewający owczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztowném wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

Was unsterblich im Gesang soll leben,

Mufs im Leben untergehen.

„Co ma ożyć w pieśni, zagańć powinno w rzeczywistości.“

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób, i wszystkie ważniejsze wspomniane w niej zdarzenia, skreślone są podług historyi. Owcześnie kroniki w cząstkowych rozerwanych spisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada: *er war ein Pfaffenkind*. O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, a nawet nienawiść ku duchownym. *Er war ein rechter Leuteschinder*. (Kronika biblioteki Wallenroda). *Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott er-*

V

gebener Mensch von Wegen seines Ordens seyn sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen. (David Lucas). Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer. Z drugiej strony przyznają mu owcześni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać śród powszechnej nienawiści i klęsk, które na zakon prowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rząd zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą; bo Witold przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić, i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę: co gorsza, zraził Witolda i tak mu niebacznie zaufał, że ten księżę pogodziwszy się tajemnie z Jagiellą, nie tylko s Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomysłnej zmianie okoliczności należało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki mistrz ogłasza krucyatę, wysypuje skarby zakonu na przygotowania (5,000,000

mark, około miliona złotych węgierskich; summa na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach nie zmarnował. Nadeszła jesień, Wallenrod zostawiwszy oboz bez żywności, i w największym bezładzie, uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, i nie znajdują w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda, pomieszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatera, dają się pogodzić, jeśli przypuścimy że był Litwinem, i że wszedł do zakonu, aby się nad nim zemścił. Jakoż, panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryenburgu. Wallenrod umarł r. 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. *Er starb*, powiada kronika, *in Rase-*

rey
Ku
gen
No
wü
wo
zo
Al
wa
bo
ki
O
do
ze
zo
ks
G
k
b
w
k
ś
t
c
d

rey ohne letzte Oehlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme... hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau steht. Halban czyli, jak go zowią kronikarze, doktor Leander von Albanus, mnich, jedyny i nieodstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był, podług kronikarzy, heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą, że utonął, inni, że uszedł tajemnie lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziłszy po większej części z dzieła Kotzebue: *Preussens Geschichte, Belege und Erläuterungen*. Hartknoch, nazywając Wallenroda *unsinnig*, bardzo krótką daje o nim wiadomość.

Lubo rodzaj wiérsza, użyty w powieści wajdeloty, mało jest znany; nie chcemy wyklądać powodów, które nas do téj nowości skłoniły; aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent zachowujący się w wymawianiu; radziliśmy się téż uwag zawartych w ważném

dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstępiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu, nie poczytujemy za rzecz stósowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie:

Skąd Li | twini^o wrā | cājā | z nocnej^o wrā | cājā^o
 wy | cieczi^o

Wiozā lupy^o bo | gāte^o w zamkach^o i | cęrkwiach^o
 zdo | byte^o.

Šama^o nie^o | widzi^o co | robi^o | wszyscy^o mi | to^o
 powia^o | daja^o.

W budowie wiersza naśladowano hexamet^o grecki, s tą różnicą, że w miejscu spondeów (- -), używano najczęściej trocheów (- o), albo - o. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez *antibacchius* (- - o), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długa; n. p. krzyk^o mój^o | mātki^o.

KONRAD WALLENROD.

W S T Ę P.

Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy
Wę krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyni szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźno ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry obić i garnąć pod siebie.

S tój strony tłumy litewskiej młodzieży,
 W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
 Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
 Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
 Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,
 Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
 Oczy utkwivszy w nieprzyjaciół szaniec,
 Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
 Tak Niemen dawniej sławny z gościnności,
 Łączący bratnich narodów dzierżawy,
 Już teraz dla nich był progiem wieczności;
 I nikt, bez straty życia lub swobody,
 Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
 Tylko gałązka litewskiego chmielu,
 Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
 Pnąc się po wierzbach i po wodnym ziele,
 Śmiała, jak dawniej, wyciąga ramiona,
 I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
 Na obcym brzegu łączy się s kochankiem.
 Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy,
 Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry,

y,
eży.
ów,
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na wspólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych
brodów

ci,
i;
Śmierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topor z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów;
Wszystko rozerwie; — lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

O B I O R.

Z marienburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono;

Dzień uroczysty w krzyżowym zakonie;
 Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
 Kędy, zebrani w kapituły gronie,
 Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
 Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
 I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
 Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
 Bo wielu mężów staje do zawodu;
 A wszyscy równie wysokiego rodu,
 I wszystkich równe w zakonie zasługi;
 Dotąd powszechna między bracią zgoda
 Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
 Sławą nappełnił zagraniczne domy;
 Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
 Czy Otomana przez morskie odmęty,
 W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
 Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
 I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
 Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
 Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
 Piérwsze mu zgodnie ustępując wyianki.

Nie tylko między krzyżowemi roty
 Wsławił orężem młodociane lata,
 Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
 Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie sływał w przydwornym nacisku
 Gładkością mowy, składnością ułłonów;
 Ani swój broni dla podłego zysku
 Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.
 Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
 Wzgardził oklaski i górne urzędy;
 Nawet zaciejsze i słodsze nagrody,
 Minstrelów hymny i piękności względy,
 Nie przemawiały do zimnego ducha.
 Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
 Na krasne lica pogląda zdaleka,
 Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym s przyro-
 dzenia,
 Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze
 młody,
 Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
 Napiętnowane starością cierpienia —

Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
 W których zabawy młodzieży podzielał,
 Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
 Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
 I sypał damom grzecznych słówek krocie,
 Z zimnym uśmiechem, jak dzieci lakocie.
 Byłyto rzadkie chwile zapomnienia,
 I wkrótce, lada słówko obojętne,
 Które dla drugich nie miało znaczenia,
 W nim obudzało wzruszenia namiętne;
 Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
 O krucyatach i o Litwie wzmianka,
 Nagle wesolość Wallenroda truły:
 Słyszac je, znowu odwracał oblicze,
 Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
 I pograżał się w dumy tajemnicze.
 Może, wspomniawszy świętość powołania,
 Sam sobie ziemskich słodczy zabrania.
 Jedne znał tylko przyjaźni słodczy,
 Jednego tylko wybrał przyjaciela,
 Świętego cnotą i pobożnym stanem:
 Byłto mnich siwy, zwano go Halbänem.

On Wallenroda samotność podziela;
 On był i duszy jego spowiednikiem,
 On był i serca jego powiernikiem.
 Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi
 Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi.

Tak naczelnicy zakonnój obrady
 Rospamiętują Konrada przymioty;
 Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
 Konrad światowój nie lubił pustoty,
 Konrad pijanej nie dzielił biesiady.
 Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,
 Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
 Szukał pociechy w gorącym napoju;
 I wtenczas zdał się wdziéwać postać nową,
 Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
 Jakiś rumieniec chorowity krasił;
 I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
 Które czas nieco skaził i przygasił,
 Ciskały dawnych ogni błyskawicę:
 S piersi żalosne westchnienie ucieka,
 I lżą perłową nabrzmiewa powieka,

Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
 Pieśni nucone cudzoziemską mową,
 Lecz je słuchaczów serca rozumieją,
 Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
 Dosyć uważać na śpiewaka postać;
 W licach pamięci widać natężenie,
 Brwi podniesione, pochyłe wejście
 Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać.
 Jakież być może pieśni jego wątek?
 Zapewne myślą, w obłądnych pogoniach,
 Ściga swą młodość na przeszłości toniach —
 Gdzież dusza jego? — w krainie pamiętek.

Lecz nigdy ręka w muzycznym zapędzie,
 Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
 I lica jego niewinnych uśmiechów
 Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
 Wszystkie uderza strony po kolei,
 Prócz jednej strony — prócz strony wesela.
 Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
 Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zesłi niespodzianie,
 I nadzwyczajnej dziwili się zmianie.

Konrad zbudzony, zżymał się i gniéwał,
 Porzucił lutnię i pieśni nie śpiewał;
 Wymawiał głośnie bezbożne wyrazy,
 Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
 Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
 Straszliwie groził, niewiadomo komu:
 Trwożą się bracia, — stary Halban siada,
 I wzrok zatapia w oblicze Konrada;
 Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
 Pełen jakowéjs tajemnej wymowy.
 Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
 Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,
 Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
 Oczy przygasza i oblicze studzi.
 Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
 Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,
 Rozłamię kratę żelaznego dworca,
 Da hasło trąbą; wtém królewskie zwierze
 Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada;
 Jeden dozorca kroku nie poruszy,
 Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
 I lwa potężnie uderzy. — oczyma;

Tym nieśmiertelnę talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II.

Z marienburskiej wieży zadzwoniono,
Z obradnej sali idą do kaplicy,
Najpiérwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kaplani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do świętego Ducha.

H y m n.

Duchu, Światło boże!
Gołąbku Syonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu,
Widomą oświeć postacią,
I rostocz skrzydła nad syońską bracią.
S pod twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski,
I kto najświętszej godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie roz-
weseli;

A padniem na twarz syny człowieka,
Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł
opieka.

Synu Zbawicielu!

Skinieniem wszechmocnej ręki

Naznacz, kto z wielu

Najgodniejszy słynać

Świętym znakiem twojej męki;

Piotra mieczem hetmanic żołnierstwu twęj
wiary,

I przed oczyma pogaństwa rozwinąć

Królestwa twego sztandary;

A syn ziemi niech czoło i serce uniża

Przed tym, na czyich piersiach błysnie
gwiazda krzyża.

Po modlach wyszli: arcykomtur zlecił,

Spocząwszy nieco powracać do choru,

I znowu błagać, aby Bóg oświecił

Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi erzeźwić się chlody;

Jedni zasiedli zamkowy krużganek,

Drudzy przechodzą gaje i ogrody.

Nóć była eicha, majowej pogody,
 Zdala niepewny wyglądał poranek;
 Xiężyc obiegłszy błonie szafirowe
 Z odmienném licem, z różnym blaskiem w oku,
 Drzemiąc to w ciemnym, to w srebrnym
 obłoku,

Zniżał swą cichą i samotną głowę;
 Jak dumający w pustyni kochanek,
 Obiegłszy myślą całe życia koło,
 Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
 To lzy wyléwa, to spojrzrzy wesolo,
 Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
 Sklania, i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
 Lecz arcykomtur chwil darmo nie traci,
 Zaraz Halbana i celniejszych braci
 Wzywa do siebie i na stronę bierze,
 Aby zdaleka od ciekawej rzeszy,
 Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
 Wychodzi z zamku, na równinę spieszy;
 Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,

Błądzili kilka godzin w okolicy,
 Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
 Już ranek; pora wracać do stolicy,
 Stają, — głos jakiś — skąd? z narożnej
 wieży:

Słuchają pilnie, — to głos pustelnicy.
 W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,
 Jakaś nieznana, pobożna niewiasta,
 Zdała przybywszy do Maryi-miasta,
 Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
 Czy skażonego sumienia wyrzuty,
 Pragnąc ukoić balsamem pokuty,
 Pustelniczego szukała ukrycia,
 I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,
 Wreszcie stałością prośby przełamani,
 Dali jój w wieży samotne schronienie.
 Ledwie stanęła za święconym progiem,
 Na próg zwalono cegły i kamienie,
 Została sama z myślami i Bogiem;
 I bramę co ją od żyjących dzieli,
 Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
 Kędy pobożny lud ślał pożywienie,
 A niebo, wietrzyk i dzienne promienie.
 Biędna grzesznico, czyż nienawiść świata
 Do tyła umysł skolatała młody,
 Że się obawiasz słońca i pogody?
 Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
 Nikt jój nie widział przy okienku wieży,
 Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
 Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,
 I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
 I stokroć miłsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu;
 Bo nie raz jeszcze świętego pielgrzyma,
 Gdy nocą przy jój błąka się ukryciu,
 Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma.
 Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki:
 I s pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
 Igrają w wieczór u bliskiej dąbrowy,
 Natenczas z okna coś białego świeci,
 Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzrenki;
 Czyto jój włos a pukiel bursztynowy,

Cz
 Blo
 Ko
 Sly
 „Ty
 „Ty
 „C
 „C
 „Je
 „W
 „C
 „Je
 Sł
 Sp
 Zd
 Do
 Zd
 Na
 I c
 Ju
 Pe
 Po

Czylito połysk drobnej śnieżnej ręki,
 Błogosławiącej niewiniątek głowy.
 Komtur tamtędy obróciwszy kroki,
 Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
 „Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki,
 „Ty masz być mistrzem abys ich zabijał!
 „Czyż nie poznają? ukrywasz daremnie,
 „Chociażbyś, jak wąż, inne przybrał ciało,
 „Jeszczeby w twojej duszy pozostało
 „Wiele dawnego, — wszak zostało we mnie!
 „Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie
 „Jeszcze krzyżacy poznaliby ciebie.“
 Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy,
 Spojrzą na kratę, zda się pochyłona,
 Zda się ku ziemi wyciągać ramiona,
 Do kogóż? pusto w całej okolicy.
 Zdaleka tylko jakiś blask uderza
 Naksztalt płomyka stalowej przyłbicy,
 I cień na ziemi — czy to płaszcz rycerza?
 Już znikło — pewnie złudzenie źrenicy,
 Pewnie jutrzeńki błysnął wzrok rumiany.
 Po ziemi ranne przemknęły tumany.

Bracia! rzekł Halban, dziękujmy niebiosom,
 Pewnie wyroki niebios nas przywiodły,
 Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom,
 Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie,
 Konrad dzielnego imię Wallenroda.
 Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,
 Słowo rycerskie; na jutrzejszej radzie,
 On mistrzem naszym! — zgoda, krzykną,
 zgoda!

I poszli krzyżąc; długo po dolinie
 Odgłos tryumfu i radości bije,
 Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
 Niech żyje zakon; niech pogaństwo zginie!

Halban pozostał mocno zamyślony,
 Na wołających okiem wzgardy rzucił,
 Spojrzał ku wieży, i cichemi tony
 Taką piosenkę odchodząc zanucił:

»Wilija, naszych strumieni rodzica,
 Dno ma złociste i niebieskie lica,
 Piękna Litwinka co jój czerpa wody,
 Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

„Wilija w miłej kowieńskiej dolinie,
 Śród tulipanów i narcysów płynie;
 U nóg Litwinki kwiat naszych mło-
 dzianów,

Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

„Wilija gardzi doliny kwiatami,
 Bo szuka Niemna swego oblubieńca;
 Litwince nudno między Litwinami,
 Bo ukochała cudzego młodzieńca.

„Niemen w gwałtowne pochwyci ra-
 miona,

Niesie na skały i dzikie przestworza,
 Tuli kochankę do zimnego łona,
 I giną razem w głębokościach morza.

„I ciebie równie przychodzić odda
 Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
 I ty utoniesz w zapomnienia fali,
 Ale smutniejsza, ale sama jedna.

„Serce i potok ostrzegać daremnie,
 Dziewica kocha, i Wilija bieży:
 Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
 Dziewica płacze w pustelniczéj wieży.“

... III: ...
 Gdy mistrz praw świętych ucałował xięgi,
 Skończył modlitwę i wziął od komtura
 Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,
 Wzniósł dumnie czoło; chociaż troski chmura
 Ciężała nad niém; wkoło okiem strzelił,
 W którym się radość napół zgniewem żarzy,
 I niewidziany gość na jego twarzy,
 Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
 Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
 Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapal mistrza, to groźne oblicze,
 Napelnia serca otuchą, nadzieją;
 Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
 I hojnie w myśli krew pogańską leją.
 Takiemu władcy któż dostoi kroku?
 Któż się nie zleknie jego szabli, wzroku?
 Drżycie Litwini! już się chwila zbliża,
 Gdy z murów Wilna błysnie znamie krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
 Upłynął cały długi rok w pokoju;

Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
 Ani sam walczy, ani śle do boju;
 A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
 Stary porządek wywraca opacznie.
 Woła, że zakon z świętych wyszedł karbów,
 Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
 Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów;
 Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
 Narzuca posty, pokuty, ciężary,
 Uciech, wygody niewinnej zaprzecza;
 Lada grzech ściga najsroźszemi kary
 Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
 Omijał bramy zakonnej stolicy,
 Teraz dokoła wsi co noc podpala,
 I lud bezbronny chwyta z okolicy;
 Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
 Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.
 Kiedyż być może czas lepszy do wojny!

Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą,
 Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
 Stąd krymskie hany lud potężny wiodą.

Witold zepchnięty od Jagielly s tronu,
 Przyjechał szukać opieki zakonu;
 W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
 I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

 Szemrają bracia, gromadzi się rada,
 Mistrza nie widać; Halban stary bieży,
 W zamku, w kaplicy nie znalazł Konrada;
 Gdzież on? zapewne u narożnej wieży.
 Śledzili bracia nocne jego kroki;
 Wszystkim wiadomo, każdego wieczora,
 Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
 On idzie błądzić po brzegach jeziora;
 Albo klęczący, przyparty do muru,
 Ukryty płaszczem, aż do białej zorzy
 Świeci zdaleka, jak posąg z marmuru,
 I przez noc całą senność go nie zmorzy.
 Często na cichy odgłos pustelnicy
 Wstaje, i cicho daje odpowiedzi;
 Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,
 Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,
 Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,
 Ze jakieś ważne toczą się rozmowy.

Pieśń z wieży.

„Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
 Czy już tak długie przeplakałam lata,
 Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
 Że od mych westchnień pordzawiła krata?
 Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,
 Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

„Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
 Ten ogień żywią pobożne kapłany;
 Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
 To źródło żywią śniegi i tumany;
 Nikt moich westchnień i łez nie podsycy,
 A dotąd boli serce i źrenica.

„Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
 Zamek bogaty, kraina wesola,
 Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia;
 Spokojność naksztalt cichego anioła,
 We dnie i w nocy, na polu i w domie
 Strzegła mię zbliska, chociaż niewidomie.

„Trzy piękne córki było nas u matki,
 A mnie najpierwżej żądano w zamęcie;

Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki,
 Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
 Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
 To, o czém w Litwie nikt pierwój nie wie-
 dział?

„O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
 Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
 Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
 I kędy dziewic słuchają xiążęta,
 Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
 Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

„Gdzie człowiek ziemne złożywszy po-
 krycie,

Z duszą ulata po rokoszném niebie;
 Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
 Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
 Ach odtąd marzę w dobrych i złych losach,
 Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

„Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
 W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło:
 Niestety! s krzyża gdy piorun wystrzelił,
 Wszystko dokoła ucichło, zagasło!

Nic nie żałuję, choć gorzkie łyżę,
 Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.“

Nadzieję, cichém powtórzyły echem
 Brzegi jeziora, doliny i knieje,
 Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem,
 Gdzież jestem, wołał, tu słyhać nadzieje?
 Na co te pieśni? pomnę twoje szczęście;
 Trzy piękne córki było was u matki,
 Ciebie najpierwéj żądano w zamęcie...
 Biada, o biada wam nadobne kwiatki!
 Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
 A kędy piersią prześliznie się błędną,
 Usechną trawy i róże uwiędną,
 I będą żółte, jako piersi gadu!
 Uciekaj myślą i dni przypominaj,
 Którebyś dotąd pędziła wesolo,
 Gdyby ty milczysz, śpiewaj i przeklinaj;
 Niechaj łza straszna, co głązy przecieka,
 Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
 Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło;
 Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy;
 Chcę znać zawczasu, co mię w piekłę czeka.

GŁOS Z WIEŻY.

Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna.
 Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
 I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...
 Precz mi s tą pieśnią — miałażbym narzekać?
 S tobą, mój luby, s tobąśmy przeżyli
 Znikomą chwilę, lecz téj jednéj chwili
 Nie będę mieniać s całą ziemian zgrają
 Na ciche życie przepędzone w nudzie.
 Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
 Są jako konchy, co się w bagnie tają;
 Ledwie raz na rok fałą niepogody
 Wypchnięte z mętnej pokażą się wody,
 Otworzą usta, raz westchną ku niebu,
 I znowu wróca do swego pogrzebu.
 Nie, jam na takie szczęście niestworzona;
 Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,
 Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
 Za czémś tęskniłam i wzdychałam skrycie,
 I czułam serca niespokojne bicie.
 Nieraz s pozioméj uciekałam łąki,
 I na najwyższym stanąwszy pagórku,

Myślałam sobie, gdyby te skowronki
 Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
 Poszłabym z niemi, i tylko s téj góry
 Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
 Kwiat niezabudki; a potem za chmury
 Leciść wysoko! wysoko! i — zniknąć.
 Tyś mię wysłuchał, ty, skrzydły orlemi,
 Monarcho ptaków wzniósłes mię do siebie.
 Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
 Bo gdzież ma leciść, po jakie roskosze,
 Kto poznał Boga wielkiego na niebie
 I kochał męża wielkiego na ziemi?

KONRAD.

Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!
 Wielkość, dla której jęczymy w niedoli.
 Kilka dni jeszcze, niech serce przeboli,
 Kilka dni tylko, już ich tak nie wiele.
 Stało się! próżno po czasie żałować:
 Płaczmę, — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
 Bo Konrad płakał ażeby mordować.
 Pocoś tu przyszła, poco moja droga!
 Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?

Jam cię poświęcił na usługi Boga,
 Nie lepiej było w świętych jego murach,
 Zdała odemnie płakać i umierać;
 Niż tu w krainie kłamstwa i rozboju,
 W grobowej wieży, w powolnych torturach
 Konać, i oczy samotne otwierać;
 I przez niezłomne téj kraty okucia
 Pomocy żebrać; a ja słuchać muszę,
 Patrząc na długą skonania katuszę,
 Stojąc zdaleka, i kląć moję duszę,
 Że w niej są jeszcze ostatki uczucia.

GŁOS Z WIEŻY.

Jeśli wyrzekasz, nie przychodź tu więcej:
 Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
 Już nie usłyszysz! już okno zamykam,
 Spuszczę się znowu w moję wieżę ciemną,
 Niechaj w milczeniu gorzkie łyzy polykam.
 Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój je-
 dyny!

I niech zaginie pamięć téj godziny,
 W której nie miałeś litości nade mną.

KONRAD.

Więc ty miej litość, ty jesteś aniołem:
 Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
 O ten róg wieży uderzę się czołem,
 Będę cię błagał skonaniami Kaima.

G Ł O S.

O! miejmy litość nad sobą samemi.
 Pomnij, mój luby, że, jak ten świat wielki,
 Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi;
 Na morzach piasku dwie wody kropelki;
 Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
 Znikniem na zawsze, ach! gińmyż pospołu.
 Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć:
 Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
 Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
 Póki w niem ziemski panował kochanek;
 Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
 Oddać dni moje zakonnice usłudze:
 Lecz tam bez ciebie wszystko w około mnie,
 Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze.
 Wspomniałem sobie, że po latach wielu,
 Miałaś powrócić do Maryi-grodu,

Szukając zemsty na nieprzyjacielu
 I broniąc sprawy biédnego narodu.
 Kto czeka, lata myślami ukraca,
 Mówiłam sobie, on już może wraca,
 Może już wrócił: czyż nie wolno żądać,
 Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
 Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
 Abym przynajmniej umarła przy tobie.
 Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
 Około drogi, na skały ułomku,
 Zamknę się sama, może rycerz jaki
 Koło méj chatki przechodzący blisko,
 Wymówi czasem kochanka nazwisko:
 Może pomiędzy obcemi szyszaki
 Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
 Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
 Niech twarz odmieni, jeszcze serce moje,
 Zdaleka nawet, kochanka odgadnie.
 I gdy go ciężka powinność przymusza
 Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
 Wszyscy go przeklną, będzie jedna dusza,
 Co mu zdaleka śmieć pobłogosławić!

Tu mój obrałam domek i grobowiec,
 W cichej ustroni, kędy świętokradzki
 Mych jęków nie śmieć podслуchać wędrowiec.
 Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;
 Myślałam sobie, on może z wieczora
 Wybieży zdala od swych towarzyszy,
 Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,
 Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
 Niebo spełniło niewinne życzenia;
 Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia.
 Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
 Sny pocieszały, choć obraz był niemy.
 Dziś ile szczęścia! dziś możemy razem —
 Razem zapłakać

KONRAD.

I cóż wyplączemy?
 Plakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
 Na wieki wieków s twojego objęcia:
 Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
 Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
 Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo,

Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
 Mogę się zemścić na nieprzyjacielu;
 A ty mi przysłaś wydzierać zwycięstwo.
 Odtąd jak znowu z okna twój wieżycy
 Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
 Znowu nic nie ma dla mojej żrenicy,
 Tylko jezioro i wieża i krata.
 Wokoło mnie wszystko wre wojny rozru-
 chem;

Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,
 Ja niecierpliwém, wyteżoném uchem
 Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
 I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
 A gdy wieczornój doczekam się pory,
 Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem;
 Ja życie moje liczę na wieczory.
 Tymczasem zakon spoczynkowi łaje,
 O wojnę prosi, własnej żąda zguby,
 I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
 Albo dawniejsze przypomina śluby,
 Wyrznięte sioła i zniszczone kraje;
 Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,

Jedném wěstchnieniem, skinieniem, oczyma,
 Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać.
 Wyrok mój zda się przybliżyć do końca,
 Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
 Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca,
 Z różnych stron świata niezliczone chmury
 Pobożny zapał w pole nagromadził,
 Wszyscy wołają, abym ich prowadził
 Z mieczem i krzyżem na wileńskie mury.
 A przecież, — wyznam ze wstydem w tój
 chwili,

Kiedy się ważą narodów wyroki,
 Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
 Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.
 Młodości! jakże wielkie tve ofiary!
 Jam miłość, szczęście; jam niebo za młodu
 Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
 Z żalem lecz z męstwem! a dzisiaj ja stary,
 Dzisiaj powinność, rozpacz, woła Boża
 Pędzą mię w pole! a ja siwój głowy
 Nie śmiem oderwać od tych ścian podnóża,
 Ażeby twój nie stracić — rozmowy!

Umilknął; z wieży slychać tylko jęki.
 W milczeniu, długie przeciekły godziny,
 Noc rozrzedniała, i promyk jutrzeński
 Już zarumienił lica cichój wody.
 Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
 Ze szmérem ranne przewiewały chłody,
 Ptaszęta cichém ozwały się pieniem,
 Umilkły znowu, — i długiem milczeniem
 Znać dają że się zbudziły zawczasie.
 Konrad powstaje, wzniosł ku wieży czoło,
 Długo na kratę poglądał boleśnie,
 Słowik zanucił, Konrad naokoło
 Spojrzał, już ranek; — opuścił przyłbicę,
 W szerokie zwoje płaszczu twarz obwinał,
 Skinieniem ręki żegna pustelnicę,
 I w krzakach zginał.
 Tak duch piekielny od wrót pustelnika
 Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV.

U C Z T A.

Był dzień patrona, uroczyste święto;
 Komtur z braćmi do stolicy jada;

Białe chorągwie na wieżach zaiknięto;
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiéwa za stołem:
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi;
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele: po lewicy tronu
Wziął miejsce Witold ze swymi hetmany;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już mistrz powstawszy daje uczy hasło,
„Cieszmy się w Panu!“ wnet puhary błysły.
„Cieszmy się w Panu!“ tysiąc głosów wrzasło:
Srebrą zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał s pogardą nieprzystojnych gwarów.
Umilkła wrzawa; ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puha-
rów.

„Cieszmy się,“ rzecze; „cóżto bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi?”

Zrazu wrzask pijany, a teraz szmér cichy:
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełném trupów bojowisku,
Śród gór kastylskich lub finlandzkich lasów,
Przy obozowém pililiśmy ognisku.

Tam były pieśni: między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem. *

Zarazem różni śpiewacy powstali:
Tam Włoch otyły, słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali;
Ówdzie trubadur od brzegów Garony,
Opiéwa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzémał, piosenki ustały:
Nagle zbudzony przerwanym loskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:
„Mnie,“ rzekł, „jednemu śpiewałeś pochwały:
Jeden nie może dać innej nagrody;
Weź i pójdź z oczu. Ów trubadur młody,

Który piękności i miłości służy,
 Niechaj dąruje, że w rycerskiem gronie
 Dziewicy niemasz, coby mu na łonie
 Wdzięczną przypięła marny kwiatek róży.

Tu róże zwiędły: innego chcę barda;
 Zakonnik rycerz innéj chce piosenki;
 Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
 Jak hałas rogów i oręża szczęki,
 I tak ponura jak klasztorne ściany,
 I tak ognista jak zalotnik pijany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
 Mordercza piosnka niech świętość ogłasza;
 Niechaj rozczuła i gniewa i nudzi,
 I znowu niechaj znudzonych przestrasza:
 Takie jest życie — taka piosnka nasza.
 Kto ją zaśpiewa? kto? — „Ja,“ odpowiedział
 Sędziwy starzec, który u podwojów
 Między giermkami i paziami siedział:
 Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów:
 Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną;
 Głowę obwiewa ostatek siwyizny,

Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła,
I tём skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. — „Ja śpiewam,“ zawoła.

„Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem:

Dziś jedni legli w ojczyzny obronie:

Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,

Dobić się wolą nad jój martwém ciałem;

Jak sługi wierne w dobrym i złym losie

Giną na swego dobroczyńcy stosie.

Inni sromotnie po lasach się kryją:

Inni, jak Witold, między wami żyją.

„Ale po śmierci, Niemcy, wy to wieście,

Sami pytajcie niecných zdrajców kraju,

Co oni poczną, gdy na tamtym świecie

Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,

Zechcą swych przodków wywoływać z raj?u?

Jakim językiem poproszą o wsparcie?

Czy w ich niemieckiej barbarzyńskiej mowie

Głos dzieci swóich uznają przodkowie?

„O dzieci, jaka na Litwę sromota!
 Żaden mi żaden nie przyniósł obrony,
 Gdy od ołtarza stary wajdelota
 Byłem w niemieckich kajdanach wleczony.
 Samotny w obcej ziemi zestarzałem :
 Śpiewak niestety! śpiewać nie mam komu.
 Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem.
 Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,
 Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony :
 Czy tam, czy owdzie, czyli s tamtej strony.

„Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
 Co w mój ojczyźnie najlepszego było:
 I te ubogie dawnych skarbów szczątki
 Weźcie mi, Niemcy, weźcie mi pamiątki.

„Jak zwyciężony rycerz na igrzysku,
 Zachowa życie, ale cześć utracą;
 I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
 Znowu do swego zwycięzcy powraca,
 I raz ostatni wytężając ramie,
 Broń swą pod jego stopami rozłamie;

„Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
 Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę:

Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę.“

Skończył, i czekał mistrza odpowiedzi:
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem:
Konrad badawczem i szydrczem okiem
Witolda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił;
Dręczy go równie i gniew i sromota.
Na koniec szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę rostrąca;
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku;
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania.
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy s cicha — „czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni, i kto je rozumie?“
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;

Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:

„Oto jest nótka litewskiego śpiewu.“

Wtém Konrad powstał: „Waleczni rycerze!

Dziś zakon, wedle starego zwyczaju,

Od miast i xiążąt podarunki bierze;

Jak winne hołdy s podległego kraju,

Żebak wam piosnkę przynosi w ofierze;

Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,

Weźmiéjmy piosnkę: będzie to grosz wdowi.

Pośród nas widzim xiążęcia Litwinów:

Gośćmi zakonu są jego wodzowie:

Miło im będzie, pamięć dawnych czynów

Słyszéc w ojczystej odświeżoną mowie.

Kto nie rozumie, niechaj się oddali:

Ja czasem lubię te posepne jęki

Niezrozumiałej litewskiej piosenki;

Jak lubię łoskot rozhukanej fali,

Albo szmér cichy wiosennego dészczu;

Przy nich spać miło — śpiewaj stary wie-

szczu.“

Pieśń wajdeloty.

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
 Jój przyjście wieszczą odgadnie źrzenica;
 Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
 Nieraz na pustych smętarzach i błoniach
 Staje widomie morowa dziewica,
 W bieliznie, z wiankiem ognistym na skro-
 niach,

Czołem przenosi białowieskie drzewa,
 A w rękę chustką skrwawioną powiewa.

„Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
 A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
 Kopia, śmierć wietrzą, i okropnie wyją.

„Dziewica stąpa kroki złowieszczémi,
 Na sioła, zamki i bogate miasta;
 A ile razy krwawą chustką skinie,
 Tyle pałaców zmienia się w pustynie:
 Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

„Zgubne zjawisko! — ale więcéj zguby,
 Wróżył Litwinom od niemieckiej strony,
 Szyszak błyszczący ze strusiami czuby,
 I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

„Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.

Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów:
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.

„O wieści gminne, ty arko przymierza!
Między dawnymi i młodszymi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę, i swych uczućkwiaty.

„Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy:
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem —
Ty czasem miéwasz i broń archaniola.

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,

I stamtąd dawne opowiada czasy.
 Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
 Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
 Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
 I brzęcą pierśią nad zgliszcza i groby
 Nuci podróżnym piosenkę zaloby.

„Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stoletni.
 Trącając kości żelazem oraczem,
 Stanął, i zagral na wierzbowej fletni
 Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
 Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
 Echa mu wtórzają: ja słuchałem zdala.
 Tym mocniej widok i piosnka rozżala:
 Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

„Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
 Umarłą przeszłość trąba archaniola;
 Tak na dźwięk pieśni, kości s pod méj stopy
 W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
 Z gruzów powstają kolumny i stropy,
 Jeziora puste brzmią licznymi wiosły
 I widać zamków otwarte podwoje,
 Korony wiązań, wojowników zbroje.

Śpiévają wieszczce, tańczy dziewic grońo —
 Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

„Zniknęły lasy i ojczyste góry:

Myśl znużonemi ulatując pióry
 Spada, w domową tuli się zaciszę;
 Lutnia umilkła w otrętwiąłém ręku,
 Śród żalosego spółrodaków jęku
 Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
 Lecz dotąd iskry młodego zapalu
 Tlą w głębi piersi: nieraz ogień wzniecą,
 Duszę ożywią, i pamięć oświecą.
 Pamięć naówczas, jak lampa s kryształu,
 Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
 Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
 Jeżeli świecznik postawisz w jój serce,
 Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
 Jeszcze na ścianach pałacu rostoczy
 Krasne acz nieco przyćmione kobierce.

„Gdybym był zdolny własne ognie przelać
 W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
 Zmarłej przeszłości: gdybym umiał strzelać
 Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;

Możeby jeszcze w téj jedynéj chwili,
 Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
 Uczuli w sobie dawne serca bicie,
 Uczuli w sobie dawną wielkość duszy;
 I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
 Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

„Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
 I swoich czasów śpiewak nie obwini;
 Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki.
 O nim zaśpiewam: uczenie się Litwini!“

Umilknął starzec i dokoła słuca,
 Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać:
 W sali dokoła była cichość głucha:
 Ta zwykła wieszczów nanowo zagrzewać.
 Zaczął więc piosnkę, ale innéj treści;
 Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
 Po stronach słabiej i rzadziej uderzał,
 I z hymnu zstąpił do prostéj powieści.

Powieść wajdeloty.

Skąd Litwini wracali? z nocnej wracali wy-
 cieczki,

Wieźli łupy bogate w zamkach i cérkwiach
zdobyte,

Tłumy brańców niemieckich s powiązanemi
rękami,

Ze stryczkami na szyjach, bieją przy koniach
zwycięzców;

Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,

Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu.

W mieście Kownie pośrodku ciągnie się bło-
nie Peruna :

Tam xiążęta litewscy, gdy po zwycięstwie
wracają,

Zwykli rycerzy niemieckich palić na stósie
ofiarnym.

Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do
Kowna :

Jeden mlody i piękny, drugi latami schylony.

Oni sami śród bitwy hufce niemieckie rzuci-
wszy

Między litwinów uciekli; xiążę Kiejstut ich
przyjął :

Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.

Pyta z jakiej krainy, w jakich zamiarach
przybyli.

„Nie wiem, rzecz młodzienc, jaki mój ród
i nazwisko;

Bo dziecięciem od Niemców byłem w nie-
wolą schwytyany.

Pomnę tylko że kędyś w Litwie śród miasta
wielkiego

Stał dom moich rodziców; było to miasto
drewniane,

Na pagórkach wyniosłych, dom był z cegły
czerwonej.

Wkoło pagórków na błoniach puszcza szu-
miała jodłowa:

Środkiem lasów daleko białe błyszczalo je-
zioro.

Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu
przebudził:

Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się
szyby:

Kłęby dymu buchnęły po gmachu: wybiegli-
śmy w bramę.

Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się
gradem:

Krzyk okropny: do broni! Niemcy są w mie-
ście, do broni!

Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcéj
nie wrócił.

Niemcy wpadli do domu: jeden wypuścił się
za mną,

Zgonił, porwał mię na koń: nie wiem, co
stało się dalej.

Tylko krzyk mojej matki długo długo sły-
szałem.

Pośród szczęku oręża, domów runących ło-
skotu,

Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał
w mém uchu.

Teraz jeszcze gdy widzę pożar i słyszę wo-
łania,

Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w ja-
skini

Za odgłosem piorunu. Oto jest wszystko co
z Litwy

Co odrodziców wywiozłem. W sennych nie-
kiedy marzeniach

Widzę postać szanowną ojca i matki i braci.
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza

Coraz grubsza, i coraz ciemniej zasłania ich
rysy.

Lata dzieciństwa płynęły: żyłem wśród Niem-
ców jak Niemiec.

Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przy-
dano;

Imię było niemieckie, dusza litewska została:
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom
nienawiść.

Winrych, mistrz krzyżacki, chował mnie w swo-
im pałacu:

On sam do chrztu mnie trzymał, kochał i pieścił
jak syna.

Jam się nudził w pałacach, s kolan Winry-
cha uciekał

Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy
Niemcami

Był wajdelota litewski, wzięty w niewolą
przed laty:

Służył tłumaczem wojsku; ten gdy się o mnie
dowiedział,

Żem sierota i Litwin, często mię wabił do
siebie.

Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną
otrzeźwiał

Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej
i pieśnią.

On mnie często ku brzegom Niemna siniego
prowadził.

Stamtąd lubilem na miłe góry ojczyste po-
glądać.

Gdyśmy do zamku wracali, starzec łyzy
mi ocierał,

Aby nie wzbudzić podejrzeń: łyzy mi ocierał,
a zemstę

Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę jak,
w zamek wróciwszy,

Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty ro-
skoszą

Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem
zwierciadła,

Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem
 i plwalem.
 Potém w latach młodzieńczych częstośmy
 z portu Klejpedy,
 W łódkę ze starcem wsiadali brzegi litew-
 skie odwiedzać.
 Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska
 ich wonia
 Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne
 wspomnienia.
 Upojony tą wonią zdało się że dzieciniałem,
 Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem
 małemi.
 Starzec pomagał pamięci; on piękniejszemi
 słowami,
 Niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą
 malował:
 Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół
 i krewnych
 Pędzić chwile młodości; ileżto dzieci litew-
 skich
 Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajda-
 nach zakonu.

To słyshałem na błoniach; lecz na wybrze-
żach Połagi,

Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się
morze,

I s pienistój gardzieli piasku strumienie wy-
lewa:

Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrze-
żnej kobierce,

Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pa-
chnące,

Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne
pokrycie.

Ach! daremnie; bo nowa żwiru nasuwa się
hydra,

Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija,
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.

Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrą-
cone,

To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini.

Synu, piaski z zamorza burzą pędzone, —
to zakon.

Serce bolało słuchając: chciałem mordować
Krzyżaków,

Albo do Litwy uciekać; starzec hamował
 zapędy.
 Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wy-
 bierać orężę,
 I na polu otwartém bić się równemi siłami.
 Zostań jeszcze i przejmiej sztuki wojenne od
 Niemców:
 Staraj się zyskać ich ufność, dalej obaczym
 co począć.
 Byłem posłuszny starcowi, szedłem z woj-
 skami Teutonów;
 Ale w piérwszój potyczce ledwiem obaczył
 chorągwie,
 Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne
 usłyszał,
 Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą
 przywodzę.
 Jako sokoł wydarty z gniazda i w klatce ży-
 wiony,
 Choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu
 rozum,
 I puszczają, żeby braci sokołów wojował;

Skoro wzniesie się w chmury, skoro pocią-
 gnie oczyma /
 Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej
 ojczyzny,
 Wolném odetchnie powietrzem, szelest
 swychskrzydeł usłyszysz,
 Pójdź myśliwcze do domu, s klatką nie cze-
 kaj sokoła.*

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał
 ciekawie: słuchała
 Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak
 bóstwo.

Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie
 wieczory:

Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówiennic
 orszaku

Zakrosnami usiada, albo się bawi przedziwem;
 A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrze-
 ciona,

Walter stoi i prawi cuda o krajach niemie-
 ckich,

I o swojej młodości. Wszystko, co Walter
 powiadał,

Łowi uchem dziewica, myślą łakomą polyka;
 Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie
 powtarza.

Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za
 Niemnem,

Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
 Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą ry-
 cerze,

A dziewice z kruzganków patrzą i wieńce
 przyznają.

Walter mówił o wielkim Bogu, co władza za
 Niemnem

I o niepokalanój syna bożego rodzicy,
 Której postać anielską w cudnym pokazał
 obrazku.

Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na
 piersiach:

Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary na-
 wracał,

Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszy-
 stkiego nauczyć,

Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,

Czego dotąd nie umiał; on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele; z jakim rokosznym
wzruszeniem

Słyszał z ust jój litewskie już zapomniane
wyrazy.

S każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się
nowe uczucie

Jako iskra s popiołu; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyja-
źni, i jeszcze

Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości,
któremu

Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu —
ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagle w mej
córce odmiana;

Gdzie jój dawna wesołość, gdzie jój dziecinne
rozrywki?

W święto wszystkie dziewice idą zabawiać
się tańcem,

Ona siedzi samotna, albo z Walterem roz-
mawia.

W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą
lub krosną;

Jéj z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach,

Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.

Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,

A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.

Jakże mogłaby widzieć, kiedy jéj oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.

Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Skąd powraca? z doliny; cóż w téj dolinie?
młodzieniec

Ogród dla niéj zasadził. Jestże ten ogród
piękniejszy

Niżli me sady zamkowe? (Pyszne Kiejstut
miał sady,

Pełne jablek i gruszek, dziewic kowieńskich
ponęta.)

Nie ogródek to wabi; zimną widziałem jęj okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,

Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemił kry-
ształu;

Walter chodzi tamtędy: pewnie siedziała
u okna,

I gorącym westchnieniem lody na szybach
stopiła.

Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słyszac, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć
zaczęli;

Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pi-
smach ćwiczony,

Mamże go z domu wypędzić? on tak potrze-
bny dla Litwy!

Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza: jeden mi staje za
wojsko.

Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się
za Litwę.

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pe-
wnie myślicie,

Że tukoniec powieści; w waszych miłosnych
romansach

Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur
piosenkę,

Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę; lecz miał duszę śla-
chetną.

Szczęścia w domu nie znalazł, bo go niebyło
w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanócił
skowronek,

Innym krajom skowronek miłość i roskosz
obwieszcza,

Biédnej Litwie co roku wróży pożary i rzeznie.
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonemi tłu-
mami;

Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna
zanosi

Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroi, rze-
nia rumaków.

Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko
zalega:

Tu i owdzie migocą straży naczelnych porce,

Jak lyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,

Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.

Dzień w dzień od taranów wala się mury i baszty,

Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,

Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba polotem,

I jak sokół na ptaki z góry na dachy uderza.

Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kiejdan uchodzi;

W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach

Broni się; Niemcy dalej ciągną plądrując i paląc.

Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie:

Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął

Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwycię-
żać, uciekać.

Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niem-
cami walczyli;

Idąc w ślady swych przodków bił się i nie-
dbał o przyszłość.

Inne były Waltera myśli; schowany wśród
Niemców,

Znał potęgę zakonu; wiedział, że mistrza
wezwanie

Scałej Europy wyciąga skarby, oręża i wojska.
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków
Teutony;

Litwa pierwój czy później równój ulegnie
kolei.

Widział niedolę Prusaków, drżał nad przy-
szłością Litwinów.

Synu! Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś
prorokiem;

Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie po-
kazać.

Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce
osłabły,

I z nadzieją zwycięstwa s piersi uciekła od-
waga.

Cóż poczniemy z Niemcami? — Ojczy, Wal-
ter powiadał,

Wiém ja sposób jedyny, straszny, skuteczny,
niestety!

Może kiedyś objawię. Tak rozmawiali po bi-
twie,

Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom
wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy: Walter jak mo-
cno zmieniony!

Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie
wesoły,

W chwilach nawet szczęśliwych lekki nirok
zamyslenia

Lice jego przysłaniał; ale w objęciach Aldony
Dawniej miał pogodne czoło i lice spo-
kojne;

Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał
wejrzeniem.

Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go
boleść;

Cały ranek przed domem, z założonemi rękami,

Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek
i wiosek :

Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się
ze snu;

I przez okno krwawą lunę pożarów uważa.

Mężu drogi, co tobie? pyta ze łzami Aldona;

— Co mnie? będęż spokojnie drzémał, aż
Niemcy napadną,

I sennego związawszy w ręce katowskie od-
dadzą?

—Boże uchowaj, mężu! strażę pilnują okopów.

— Prawda, strażę pilnują, czuwam i szablę
mam w ręku;

Ale kiedy wyginą strażę, wyszczerbi się
szabla...

Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję...

— Bóg nam zdarzy pociechę z dziełek — wtém
Niemcy napadną,

Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.

Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował.

Gdyby nie wajdelota. — Drogi Walterze, ujedźmy

Daléj w Litwę: skryjmy się w lasy i góry od Niemców.

— My odjedziemy, a inne matki i dzieci zostawim.

Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił:

Jeśli nas w górach wyśledzi? — Znowu daléj ujedziem.

— Daléj? daléj nieszczęsna! daléj ujedziem za Litwę,

W ręce Tatarów, lub Rusi? Na tę odpowiedź Aldona

Pomieszana milczała; jéj zdawało się dotąd że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;

Piérwszy raz słyszy, że w Litwie całéj nie było schronienia.

Zalamawszy ręce, pyta Waltera, co począć?

— Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał
Litwinom,
Skruszyć potęgę zakonu; mnie ten sposób
wiadomy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przekłętą
godzina,
W której od wrogów zmuszony chwycę się
tego sposobu.
Więcej nie chciał powiadać, prośb Aldony
nie słuchał:
Litwy tylko nieszczęścia słyshał i widział
przed sobą.
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu
karmiony
Kłęk i cierpień widokiem, wzdał się i serce
ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne
uczucie
Dotąd mu żywot słodzące; nawet uczucie
miłości.
Tak u białowieskiego dębu jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wzniciwszy, rdzeń głęboko
wypala,

Wkrótce lasów monarcha straci swe liście
powiewne:

Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zie-
loność,

Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona
jemioly.

Długo Litwini po zamkach, górach i la-
sach błędzili,

Napadając na Niemców lub napadani wza-
jemnie.

Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach
Rudawy,

Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej
poległo,

Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzy-
żowych.

Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły
z za morza:

Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili
się w góry,

Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi
tarczami:

Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do
domu.

Walter nie spojrział na żonę, słowa do niej
nie wyrzekł.

Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą roz-
mawiał.

Nie rozumiała Aldona: serce jej tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli
obradę,

Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili
wejrzenie.

Walter patrzył najdłużej z niemój wyrazem
rospaczy;

Wtém gęstemi kroplami lzy mu rzuciły się
z oczu.

Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca,
I przeproszał za wszystko, co ucierpiała dla
niego.

Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają
szaleńców,

Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach
ulatują,

Których sercu nie może szczęście domowe
wystarczyć.

Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapęłnić nie może: stają się gniazdem
jaszczurek.

Daruj, luba Aldono, dzisiaj chcę w domu po-
zostać,

Dzisiaj o wszystkiem zapomnę, dzisiaj bę-
dziemy dla siebie,
Czém bywaliliśmy dawniej; jutro... i nie śmiał
dokończyć.

Jaka radość Aldonie! zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny,
wesoły:

Widzi go mniej zamysłonym, w oczach wię-
cej żywości,

Wlicach dostrzega rumieniec. Walter unóg
Aldony

Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków
i wojnę

Rzucił na chwilę w niepamięć; mówił o cza-
sach szczęśliwych

Swego do Litwy przybycia, piérwszej z Aldoną rozmowy,

Piérwszej w dolinę przechadzki, i o wszystkich dziecinnych

Ale sercu pamiętnych, piérwszej miłości zdarzeniach.

Za cóż tak lubie rozmowy słowem: „jutro”, przerywa?

I zamysła się znowu, długo na żonę pogląda,
Lzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmieć.

Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiętki,

Nato tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty,

Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości!...

Darmo się pytać; Aldona patrzy, czeka niepewna,

I wyszedłszy s komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.

Walter wino nalewał, mnogie wychylał pu-
hary,

I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku
kopyta:

Dwaj rycerze s tumanem rannym śpieszą się
w góry.

Wszystkieby straże zmylili, jednej nie mogli
omylić.

Czujne są oczy kochanki: zgadła ucieczkę
Aldona!

Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było
spotkanie.

Wróc się, o luba! do domu; wróc się, ty bę-
dziesz szczęśliwa:

Może będziesz szczęśliwa, w lubej rodziny
objęciach.

Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę,
zapomnisz!

Wielu xiążąt dawniej o twą starało się rękę.
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim czło-
wieku,

Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — na-
wet i siebie!

Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy
nade mną.

Walter wszystko utracił, Walter sam jeden
pozostał,

Jako wiatr na pustyni: błąkać się musi po
świecie;

Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią
haniebną.

Ale po latach ubiegłych, imie Alfa nanowo
Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów
posłyszysz

Czyny jego; natenczas, luba, natenczas po-
myślisz,

Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic
okryty,

Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś
małżonkiem:

I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroc-
ctwa.

Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie sły-
szy ni słowa.

Jedziesz, jedziesz! krzyknęła, i zatrwożyła
się sama

Słowem jedziesz: to jedno słowo brzmiało
w jej uchu.

Nic nie myślała, o niczém pomnić nie mogła;
jej myśli,

Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splą-
tało się tłumnie;

Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
że niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane
toczyła:

Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejźrzenie.
Wtém wejźrzeniu już dawniejnie znajdowała
pociechy:

I zdawała się szukać czegoś nowego, i wkoło
Oglądała się znowu: wkoło pustynie i lasy.

W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem
wieżyca:

Byłto klasztor zakonnic, chrześcijan smutna
budowa.

Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,
Jak gołąbek, porwany wiatrem śród morskiej
topieli,

Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią
w milczeniu:

Opowiedział swój zamiar, tać przed świa-
tem nakazał,

I u bramy — niestety! straszne to było roz-
stanie —

Alf z wajdelotą pojechał: dotąd nic o nich
nie słycać.

Biada, biada! jeżeli dotąd nie spełnił przy-
sięgi;

Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony
zatrąwszy...

Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...

Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończy-
łem piosenkę.

Koniec już koniec — wielki szmer na sali,
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?
Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali.
Mistrz tylko jeden wśród szumnej drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową:

Mocno wzruszony, porywa  o chwila
 Puhary z winem i do dna wychyla.
 W jego postaci zmianę widać nową,
 R zne uczucia w nagłych blyskawicach
 Po rozpalonych krzyżują się licach.
 Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,
 Usta drżą sine, obłąkane oczy
 Latają, niby jaskółki  ród burzy.
 Wreszcie płaszcz zrzuca i na  rodek skoczy:
 „Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec  pi waj,
 Albo daj lutnię; czego drżący stoisz?
 Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
 Za pi wam koniec, je li ty się boisz.

Znam ja was, ka da piosnka wajdeloty
 Nieszczęście wr ży, jak nocnych ps w wycie.
 Mordy, po ogi, wy  pi wa c lubicie:
 Nam zostawiacie chwa ę i zgryzoty.
 Jeszcze w kol bce wasza pie n zradziecka,
 Naksztalt gadziny obwija pier  dziecka,
 I wlewa w dusz  najsro sze trucizny,
 G pi  ch ę  lawy i mi o c ojczyzny.

Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
 Jak zabitego cień nieprzyjaciela:
 Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
 Aby krew mieszać w pułhary wesela.
 Słuchałem pieśni, za nadto niestety!...
 Stało się, stało: znam cię zdrajco stary;
 Wygrałeś! wojna, tryumf dla poety.
 Dajcie mi wina, spełnią się zamiary.

Wiém koniec pieśni: nie... zaśpięwam
 inną;

Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
 Tam mnie Maurowie ballady uczyli.
 Starcze! graj nótę; tę nótę dziecinną,
 Którą w dolinie... o! byłto czas błogi. —
 Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić.
 Wracajże starcze, bo przez wszystkie bogi
 Niemieckie, pruskie — starzec musiał wró-
 cić:

Uderzył lutnię i głosem niepewnym
 Szedł za dzikimi tonami Konrada,
 Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
 Rycerzy długa uspiła biesiada:
 Lecz Konrad śpiewa, budzą się nanowo:
 Stają, i w szczupłym ścisnąwszy się kole,
 Pilnie zważają każde pieśni słowo.

A L P U H A R A.

BALLADA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
 Naród ich dźwiga żelaza:
 Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
 Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
 Almanzor z garstką rycerzy:
 Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
 Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
 Rwą się okopy, mur wali:
 Już z minaretów błysnęły krzyże,
 Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe rotę
 Zbite w upornej obronie,
 Przerznął się między szable i groty,
 Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
 Pomiędzy gruzy i trupy,
 Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
 Rozdziela brańce i łupy.

Wtém straż oddźwierna wozom donosi:
 Że rycerz z obcej krainy
 O posłuchanie co rychlój prosi,
 Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor, król muzułmanów:
 Rzucił bezpieczne ukrycie:
 Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
 I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie!“ woła, „na waszym progu
 Przychodzę czołem uderzyć:
 Przychodzę służyć waszemu Bogu,
 Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem:
 Że Arab, że król zwalczony,
 Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
 Wassalem obcej korony.*

Hiszpanie męstwo cenić umieją:
 Gdy Almanzora poznali,
 Wódz go uściskał, inni koleją
 Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
 Wódza najczuliej uściskał:
 Objął za szyję, za ręce chwycił,
 Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął, padł na kolana,
 Ale rękami drżącemi
 Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
 Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:
 Zbladłe, ssiniate miał lice:
 Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
 Krwią mu nabiegły żrzenice.



„Patrzcie o! giaury, jam siny, błady:
 Zgadnięcie, czyim ja posłem?
 Jam was oszukał, wracam z Grenady,
 Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepilem w duszę
 Jad, co was będzie pożerać;
 Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
 Wy tak musicie umierać.“

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;
 Chciałby uściśnieniem wiecznym
 Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
 Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
 Jeszcze się usta nie zwarły:
 I śmiech piekielny został na wieki
 Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
 Dżuma za nimi w ślad biegła:
 Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
 Reszta ich wojska poległa.

Takto przed laty mścili się Maurowie:
 Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?
 Cóż? jeśli kiedy uisci się w słowie,
 I przyjdzie mieszać zarazę do wina...
 Ale nie — o nie — dziś inne zwyczaje;
 Xiążę Witoldzie, dziś litewskie pany
 Przychodzą własne oddawać nam kraje,
 I zemsty szukać na swój lud znękany!

Przecież nie wszyscy — o! nie, na Peruna!
 Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpié-
 wam...

Precz mi s tą lutnią — zerwała się stróna;
 Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,
 Że kiedyś będą... dziś — zbyt nie puhary...
 Za nadto piłem — cieszcie się — i bawcie.
 A ty Al...manzor, — precz mi z oczu
 stary —

Precz mi z Albanem — samego zostawcie.

Rzekł: i niepewną powracając drogą,
 Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił:
 Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
 Stół s puharami i winem wywrócił.

Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
 Na poręcz krzesła: wzrok po chwili gasnął,
 I drżące usta piana mu okryła,
 I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali:
 Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
 Że gdy się winem zbytecznie zapali,
 W dzikie zapaly, w bezprzytomność wpada.
 Ale na uczcie! publiczna sromota!
 Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym
 gniewie!

Kto go podniecił? gdzie ów wajdelota?
 Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wie.

Były powieści: że Halban przebrany
 Litewską piosnkę Konradowi śpiewał;
 Że tym sposobem znowu chrześcijany
 Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
 Ale skąd w mistrzu tak nagle odmiany?
 Za co się Witold tak srodze rozgniewał?
 Co znaczy mistrza dziwaczna ballada?
 Każdy w domyslach nadaremnie bada.

W O J N A.

Wojna — już Konrad hamować nie zdoła
 Zapędów ludu i nalegań rady;
 Dawno już cały kraj o pomstę woła,
 Za Litwy napaść i Witolda zdrady.

Witold, co wsparcia u zakonu żebrał,
 Dla odzyskania wileńskiej stolicy;
 Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
 Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
 Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
 I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów, leżące po drodze,
 Wszedł z wymyślonym od mistrza rozkazem;
 A potem oręż wydarłszy załodze,
 Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
 Zakon i wstydem i gniewem zagrzany,
 Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
 Wychodzi bulla; morzem, lądem płyną
 Nieprzeliczone wojowników roje,
 Moźni xiążęta, z wassalów drużyną,
 Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;

A każdy na to swe życie poślubił,
 Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?
 Jeśliś ciekawy, wynidź na okopy,
 Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachylił,
 Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
 Krwawym płomieni ruczajem obleje.
 Oto są wojen napaśniczych dzieje;
 Łacno je skręślić: rzeź, grabież, pożoga
 I blask, co głupie rozwesela zgraje,
 A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
 Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły:
 Rycerze dalej w głąb' Litwy zabiegli:
 Słysząc, że Kowno, że Wilno oblegli;
 W końcu ustały i wieści i posły.
 Już w okolicy nie widać płomieni,
 I niebo coraz dalej się czerwieni.
 Darmo Prusacy s podbitej krainy
 Brańców i mnogich łupów wyglądają;
 Darmo ślą częstych gońców po nowiny,
 Śpieszą się gońce, i — nie powracają.

Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rospaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zavalają drogi:
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze? czy wojny pożogi?
Coraz widoczniej razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Maryenburga lud patrzy ku drodze:
Już widać zdala: — kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych; — Konrad? nasi wodze?
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? Konrad wznioł prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozprószoną;
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;
Walą się, depcą jak podłe owady,
W ciasnym naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącają do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi;

Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał;
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.

Tu słychać trąby litewskiej pogoni,
Tam wichler toczy kłęb śniegu po błoni;
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło: Konrad wszystkich
On, co z oręża takiej nabył chwały; (zgubił);
On, co się dawniej rostopnością chlubił;
W ostatniej wojnie lęklivy, niedbały,
Witolda chytrych sidel niedostrzegal:
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stopy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegal.

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,

A nieprzyjaciel wkoło rosprószony
 Niszczył posiłki, przecinał dowozy;
 Codziennie z nędzy marły Niemców krocie;
 Czas było szturmem położyć kres wojny,
 Albo o rychłym zamyślać odwrocie;
 Wtenezas Wallenrod, ufny i spokojny,
 Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
 Zamknięty knował tajemne układy,
 I wodzów niechciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnał,
 Że ludu swego niewzruszony łzami,
 Coby na jego obronę miecz dźwignął,
 Z założonemi na piersiach rękami,
 Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał.
 Tymczasem zima nawaliła śniegi,
 I Witold, świeże zebrawszy szeregi,
 Oblegał wojsko, na obóz napadał;
 O hańbo w dziejach mężnego zakonu!
 Wielki mistrz piérwszy uciekł s pola bitwy.
 Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
 Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Li-
 twy.

Czyście widzieli, gdy s tego pogromu
 Wojsko upiorów prowadził do domu?
 Ponury smutek czoło jego mroczy,
 Robak boleści wywijał się z lica;
 I Konrad cierpiał — ale spojrzysz w oczy:
 Ta wielka, napół otwarta źrzenica,
 Jasne z ukosa miotala pociski,
 Niby kometa grożący wojnami:
 Co chwila zmienna, jak nocne polyski,
 Któremi szatan podróznego mami;
 Wściekłość i radość łącząc razem,
 Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.
 Drżał lud i szemrał: Konrad niedbał o to:
 Zwolał na radę niechętnych rycerzy;
 Spojrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
 Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
 W błędach człowieka widzą sądy Boga,
 Bo kogóż z ludzi nie przekona — trwoga?
 Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie.
 W Maryenburgu wiem ja loch podziemny;
 Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrze-
 Schodzi na radę trybunał tajemny. (bie,

Tam jedna lampa na podniebieniu sali,
 I w dzień i w nocy się pali;
 Dwanaście krzesel koło tronu stoi,
 Na tronie ustaw xięga tajemnicza:
 Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi
 Wszystkich maskami zamknięte oblicza:
 W lochach od gminnej ukryli się zgraj,
 A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgo-
 dnie,

Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
 Nazbyt gorszące lub ukryte światu.

Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
 I rodzonemu nieprzepuszczą bratu;
 Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
 Na potępionym dopełnić wyroku:
 Sztylety w rękę, rapiéry u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
 I stojąc z mieczem przed xięgą zakonu,

Rzekł — „Straszliwi sędziowie!

Już nasze podejrzenie stwierdzone dowo-
 dem;

Człowiek, co się Konradem Wallenrodem
zowie,

Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest? niewiadomo: przed dwunastu laty
Niewiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie
krainy.

Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści
zginął;

Ów giermek podejrzany o jego zabicie

S Palestyny uszedł skrycie,

I ku hiszpańskim brzegom zawinął.

Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa
dowody,

I na turniejach mnogie pozyskał nagrody:

A wszędzie pod imieniem Wallenroda sływał.

Przyjął nakoniec zakonnika śluby

I został mistrzem dla zakonu zguby.

Jak rządził, wszyscy wiecie; téj ostatniéj zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą wal-
czymy,

Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
 I tam miéwał z Witoldem tajemne rozmowy.
 Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
 Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
 Nie pojęli, co Konrad mówił s pustelnicą:
 Lecz, sędziowie, on mówił językiem Litwinów.

Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
 Niedawno o tym człowieku doniosły,

I o czém świeżo mój szpieg donosi,
 I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
 Sędziowie! ja na mistrza zaskarżenie kładę
 O fałsz, zabójstwo, herezyą, zradę. —

Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
 Ukląkł, i wsparłszy na krucyfiks rękę,
 Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
 Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
 Lecz niéma głosów, ni cichéj rozmowy,
 Ledwie rzut oka lub skinienie głowy:
 Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
 Każdy s kolei zbliżał się do tronu,
 Ostrzem sztyletu, na księdze zakonu

Karty przerzucił, prawa cicho czytał,
 O zdanie tylko sumnienia zapytał:
 Osądził, rękę do serca przykładając:
 I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!
 I trzykroć echem powtórzyły mury:
 Biada! — w tém jedném, jedném tylko słowie
 Jest cały wyrok; — pojęli sędziowie:
 Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
 Wszystkie zmierzone — w jedną pierś Kon-
 rada.
 Wyszli w milczeniu, — a jeszcze raz mury
 Echem za nimi powtórzyły: — biada!

VI.

P O Ż E G N A N I E.

Zimowy ranek — wicherzy się i śnieży:
 Wallenrod leci śród wichrów i śniegów:
 Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
 Wola i mieczem bije w ściany wieży.
 Aldono, wola, żyjemy, Aldono!
 Twój miły wraca, wypełnione śluby:
 Oni zginęli, wszystko wypełniono.

Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy:
 Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
 Kowieński zamek, już tylko ruiny;
 Odwracam oczy, przelatuję czwalem,
 Biegnę do owój, do naszej doliny.
 Wszystko jak dawniej! też laski, te kwiaty;
 Wszystko jak było owego wieczora,
 Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.
 Ach! mnie się zdało, że to było wczora!
 Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,
 Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
 Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły:
 Ledwiem go dostrzegł, osłoniiony ziele.
 Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami.
 Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
 Lubilaś spocząć między jaworami;
 Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoju;
 Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
 Nawet twój mały sadek zostawiono,
 Com go suchemi wierzbami ogrodził.
 Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
 Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,

Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,
 I liście na nich wiosenne powiewa,
 I młodych kwiatków unoszą się puchy.
 Ach! na ten widok, pociecha nieznana,
 Przeczucie szczęścia, serce ożywiło;
 Całując wierzby padłem na kolana,
 Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
 Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
 Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
 Odżyli znowu; niech i naszą dolę
 Znowu nadziei listek zazieleni.

Tak, wróćmy! pozwól! mam w zakonie wła-
 Każę otworzyć; lecz po co roskazy? (dżę,
 Gdyby ta brama była tysiąc razy
 Twardszą od stali, wybiję, wysadzę.
 Tam cię, o luba! ku naszej dolinie,
 Tam poprowadzę, poniosę na rękę:
 Lub dalej pójdziem; są w Litwie pustynie,
 Są głuche cienie białowieskich lasów,
 Kędy niesłyszać obcej broni szczęku,
 Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
 Ni zwyciężonych braci naszych jęku.

Tam w środku cichój, pasterskiej zagrody,
 Na twoim ręku, u twójogo łona,
 Zapomnę, że są na świecie narody,
 Że jest świat jakiś, — będziem żyć dla siebie.
 Wróc, powiedz, pozwól. — Milczała Aldona:
 Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
 Wtém krwawa jutrznia błysnęła na niebie:
 Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi:
 Zbudzą się ludzie, i straż nas zatrzyma;
 Aldono, wołał, drżał z niecierpliwości,
 Głosu nie stało, błagał ją oczyma,
 I załamane ręce wznosił do góry,
 Padł na kolana, i, żebrząc litości,
 Objął, całował, zimnej wieży mury.

Nie, już po czasie — rzekła smutnym głosem,
 Ale spokojnym, — Bóg mi doda siły: (sem,
 On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.
 Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
 Niezstąpić z wieży, chyba do mogiły.
 Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,
 I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu.
 Chcesz wrócić na świat, kogo? nędzną marę.

Pomyśl, ach pomyśl, jeżeli szalona
 Dam się namówić, rzućę tę pieczarę,
 I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
 A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
 Odwrócisz oczy i s trwogą zapytasz:
 Ten straszny upiór jestże to Aldona?
 I będziesz szukał w zagasłej źrzenicy,
 I w twarzy, która ... ach! myśl sama raz!...
 Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
 Pięknej Aldonie oblicza nie kazi.

Ja sama — wyznam — daruj, mój kochany,
 Ilekroć xiężyc żywszém światłem błyska,
 Gdy slysze głos twój, kryję się za ściany:
 Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć zbliśka.
 Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
 Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
 Gdyś wjechał w zamek z naszymi orszaki:
 Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie,
 Też same oczy, twarz, postawę, szaty.
 Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
 Na wieki całą zachowuje postać.
 Alfie, nam lepiej takimi pozostać,

Jakiemi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu, — ale nie na ziemi.

Doliny piękne zostawmy szczęśliwym:

Ja lubię moję kamienną zaciszę:

Mnie dosyć szczęścia gdy cię widzę żywym,

Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.

I w téj zaciszy można, Alfie drogi,

Można by wszystkie cierpienia osłodzić.

Porzuc już zdrady, mordy i pożogi:

Staraj się częściej i raniiej przychodzić.

Gdybyś — posłuchaj — wokoło równiny

Chłodnik podobny owemu zasadził,

I twoje wierzby kochane sprowadził,

I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;

Niech czasem dziatki s pobliskiego siola

Bawią się między ojczystemi drzewy,

Ojczyste w wianek uplatają zioła,

Niechaj litewskie powtarzają śpiewy.

Piosnka ojczysta pomaga dumaniu,

I sny sprowadza o Litwie i tobie;

A potém, potém, po mojem skonaniu,

Niech przyspiewują i na Alfa grobie.

Alf już nie słyszał: on po dzikim brzegu
 Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
 Tam góra lodu, tam puszcza go nęci:
 W dzikich widokach i w naglonym biegu,
 Znajdował jakąś ulgę, — utrudzenie.
 Ciężko mu, duszno wśród zimowej słoty;
 Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie,
 I s piersi zrzucił wszystko, — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy:
 Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada;
 Cień krąży dalej i cichemi stopy
 Wionął po śniegu, w okopach przepada:
 Głos tylko słyhać: — biada, biada, biada!

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
 Pomyślił chwilę — i wszystko zrozumiał.
 Dobywa miecza i na różne strony
 Zwraca się, śledzi niespokojnym okiem;
 Pusto dokoła, tylko przez zagony
 Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał:
 Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony:
 Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
 Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była;
 — Dzień dobry! krzyknął, przez tyle lat z sobą
 Tylkośmy nocną widzieli się doba;
 Teraz dzień dobry, — jaka wróżba miła!
 Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu.

A L D O N A.

Niechcę zgadywać, bądź zdrów, przyja-
 cielu:

Już nazbyt światło: gdyby cię poznano...
 Przestań namawiać, — bądź zdrów do wie-
 Wynisć nie mogę, nie chcę. (czora:

A L F.

Już nie pora!

Wiész, o co proszę? — zrzuc jaką gałązkę —
 Nie: kwiatów niemasz: więc nitkę z odzieży,
 Albo s twojego warkocza zawiązkę,
 Albo kamyczek ze ścian twojej wieży;
 Chcę dzisiaj, — jutra nie każdemu dożyć —
 Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
 Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
 Na którym jeszcze świeża łezka płonie.
 Chcę go przed śmiercią na mém sercu złożyć,

Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem;
 Mam zginąć wkrótce, nagle; zgińmy razem.
 Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?
 Tam będę mieszkał; dla znaku, co ranek
 Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
 Co wieczór lampę u kraty zapalę;
 Tam wiecznie patrzaj: jeśli chustkę zrzucę,
 Jeżeli lampa przed wieczorem skona;
 Zamknij twę okno, może już nie wrócę.

Bądź zdrowa: — odszedł i zniknął. Aldona
 Jeszcze pogląda zwieszona u kraty.
 Ranek przeminął, słońce zachodziło,
 A długo jeszcze w oknie widać było
 Jój białe z wiatrem igrające szaty,
 I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

„Zaszło nakoniec,“ rzekł Alf do Halbana,
 Wskazując słońce z okna swój strażnicy,
 W której zamknięty od samego rana
 Siedział, patrząc w okna pustelnicy:

„Daj mi płaszcz, szablę; bądź zdrów,
 wierny sługo:
 Pójdę ku wieży, — bywaj zdrów na długo,

Może na wieki: posłuchaj Halbanie:
 Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
 Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. —
 Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić —
 Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
 Nie mam nikomu, nigdzie nic powiedzieć
 W godzinę skonu, — prócz jój i prócz ciebie.
 Bądź zdrów Halbanie: ona będzie wiedzieć:
 Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
 Lecz cóżto? słyszysz? — w bramę kołatano.

Kto idzie? trzykroć odźwierny zawołał:
 Biada! krzyknęło kilka dzikich głosów:
 Widać, że strażnik oprzec się nie zdołał,
 I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
 Już orszak dolne krużganki przebiega,
 Już przez żelazne pokręcone wschody,
 Do Wallenroda wiodące gospody,
 Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega:
 Alf zawaliwszy wrzeciędzem podwoje,
 Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
 Poszedł ku oknu: — stało się: — zawołał:
 Nalał i wypił: — starcze! w ręce twoje!

Halban pobladnął: chciał skinieniem ręki
 Wytrącić napój: wstrzymuje się, myśli:
 Słysząc za drzwiami coraz bliższe dźwięki:
 Opuszcza rękę, — to oni, — już przyšli.

„Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
 I czegoż myślisz? masz nalaną czaszę:
 Moja wypita; starcze! w ręce wasze.“
 Halban poglądał w milczenia rozpaczy.

„Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu! —
 Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
 I żyć — ażebym sławę twego czynu
 Zachował światu, rozgłosił na wieki.
 Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
 Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci:
 Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
 Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
 Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
 S tój pieśni wstanie mściciel naszych kości.“
 Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
 I długo, długo ku wieży poglądał:
 Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał
 Miłym widokiem, który wnet postrada.

Objął Halbana, westchnienia zmieszali
 W ostatniem, cichém, długim uściśnieniu.
 Już u wrzeczadzów slychać łoskot stali;
 Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

»Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz
 padnie:

Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
 Oto jest starzec, kapelan zakonu:
 Oczyść twą duszę i umrzój przykładnie.«

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
 Lecz coraz bladnie, pochyla się, skłania;
 Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,
 Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię
 miota,

Depce nogami z uśmiechem pogardy,
 »Oto są grzechy mojego żywota!

»Gotówem umrzeć, czegoż chcecie więcej:
 Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy:
 Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
 Na miasta w gruzach, w płomieniach dzier-
 żawy.

Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów;
 Tam marzną waszych ostatki szeregów.
 Słyszycie? wyją głodnych psów gromady:
 One się gryzą o szczątki biesiady.

„Ja to sprawilem; jakem wielki, dumny,
 Tyle głów hydry jednym ściąg zamachem!
 Jak Samson jedném wstrząśnieniem kolumny,
 Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem.“

Rzekł, spojrzzał w okno i bez czucia
 pada:

Ale nim upadł, lampę z okna ciska:
 Ta trzykroć kołem obiegając, błyska:
 Nakoniec legła przed czołem Konrada;
 W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
 Lecz coraz głębiej topi się i mroczy:
 Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
 Ostatni, wielki krąg światła roztoczy:
 I przy tym blasku widać Alfa oczy:
 Już pobielaly — i światło zagasło.

I w téjże chwili przebił wieży ściany
 Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany.—

S czyjéto piersi? wy się domyślicie;
 A ktoby słyisał, odgadnąłby snadnie:
 Że piersi, s których taki jęk wypadnie,
 Już nigdy więcéj nie wydadzą głosu.
 W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak stróny lutni od tęgiego ciosu
 Zabrzmią i pękną: zmieszanemi dźwięki
 Zdają się głosić początek piosenki,
 Ale jéj końca nikt się nie spodziéwa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
 Niechaj ją aniól muzyki w niebiosach,
 A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiéwa.

K O N I E C .

Objaśnienia.

Str. w.

3. 19. *Z maryenburskiej wieży zadzwoniono:*

Marienburg, po polsku *Malborg*, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do rzeczypospolitej polskiej; później oddane w zastaw margrabiom brandenburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów pruskich. W sklepach zamku były groby wielkich - mistrzów; niektóre dotąd ocalały. Voigt, professor królewiecki, wydał przed kilku laty historią *Maryenburga*, dzieło ważne dla historii Prus i Litwy.

4. 5. 6. *Wielki krzyż i wielki miecz*, insignia wielkich mistrzów.

4. 14. *Domy*, tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki, po różnych krajach Europy rozrzucone.

4. 21. *Gonić na ostre*, dawne wyrażenie polskie, *combattre à outrance*.

Str. w.

10. 1. 2. *Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy,
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.*

Wzrok człowieka, powiada Cooper, jeśli jaśniej wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy s téj okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek usłyszał szelest, podniósł się, i ujrzał s przestraczem ogromnego tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli; ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle. 1827. Fevrier. Voyage du Capitaine Head.*

Str. w.

11. 16. *Arcykomtur, Grofskomthur*, najpiérwszy urzędnik po wielkim mistrzu.
13. 8. *Jakaś pobożna, nieznana niewiasta*. Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewczycy, która przybywszy do Maryenburga, żądała, aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej sływał cudami.
16. 3. *Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom. Konrad, dzielnego imie Wallenroda; On mistrzem naszym.* —
 W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak Winrych Kniprode pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało, jakoby w grobach mistrzów wołanie trzykrotne: *Vinrice! ordo laborat. Winrychu! zakon w niebespieczeństwie.*
21. 8. *Zamek Swentoroga*, zamek wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany *Znicz*, to jest ogień wieczny.
33. 12. *Cieszymy się w Panu*, hasło uczt zakonnych owego wieku.
40. 1. *Pieśń wajdeloty*. Obacz Poezyj Mickiewicza Tom II. str. 72, gdzie opisane jest podobne

Str. w.

zdarzenie za mistrzostwa Dusener von Arfberg.

40. 6. *Staje widomie morowa dziewica.* Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, której zjawienie się, opisane tu według powieści gminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniej, słyszana niegdyś w Litwie balladę. »We wsi zjawiała się morowa dziewica, i według zwyczaju przeze drzwi lub okno wsuwając rękę, ni powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się wwarownie; ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci. Pewien szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne obleżenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich, wziął szablę zygmuntowską, na której było imię *Jezus*, imię *Marya*, i tak uzbrojony otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszdyłu rękę, i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie, ni cała jego rodzina wymarła; ale odtąd nigdy we wsi nie znano morowego powietrza.« —

Str. w.

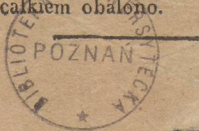
Chustka owa miała być zachowaną w kościele, nie pomnę jakiego miasteczka. Na wschodzie przed zjawieniem się dżumy ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i palcami wytykać wskazanych na śmierć. Zdaje się, że imaginacya gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwozę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nietylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Tak w Grecyi przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiej; w państwie rzymskiem upadek monarchii; w Ameryce przybycie Hiszpanów i t. d.

48. 9. *Miałem imię Waltera.* Walter von Stadion, rycerz niemiecki, wzięty w niewolę od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroźszemi Niemców nieprzyjaciółmi. Takim był pamiętny w dziejach zakonu Prusak Herkus Monte.

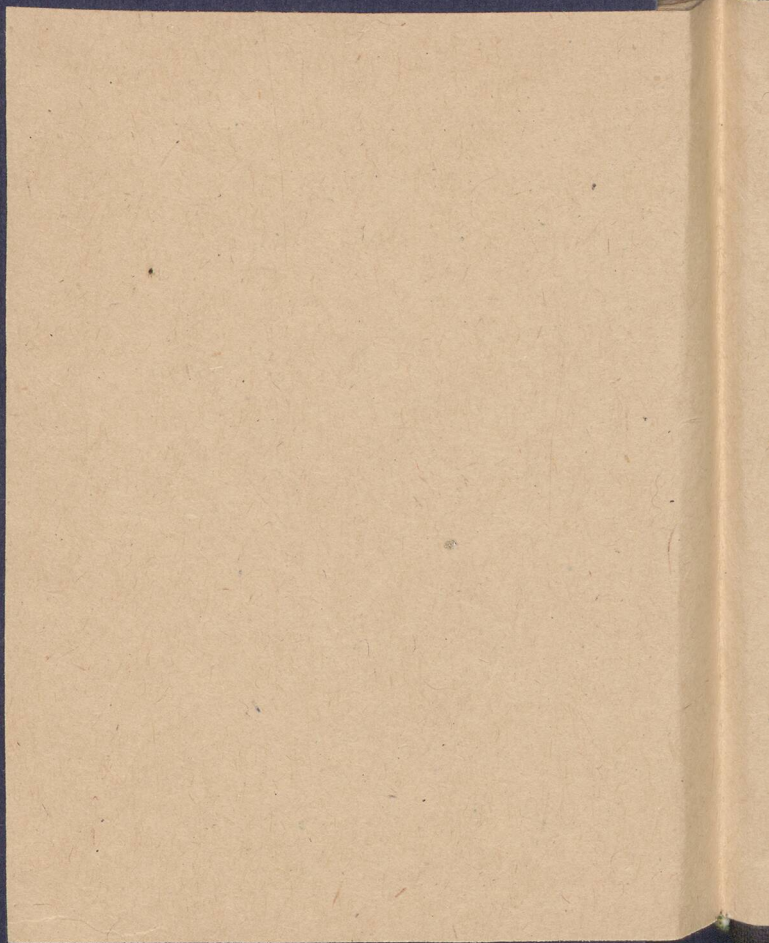
81. 1. *Wojna.* Obraz tej wojny skróślony podług historii.

Str. w.

86. 22. *Trybunał tajemny.* W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słaba na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciółom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadomiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności: *weh!* biada! To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem femicznym (*Vehmgericht*) albo w *estfalskim*. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nie raz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucją całkiem obalono.



ch
się
aga
ch
ne,
ba,
nie
re-
ok
jac
e-
ó-
y-
nie
éj
ze
bo
ly
yé
zu
ch
nie
y-



1308,00

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W POZNANIU



1728472

NZB